



BŁYSKI

czyli opowieści
Dzieci
Potulic

Dziękuję za pomoc i życzliwość
oraz to, co najcenniejsze – Wasze wspomnienia

Błyski
czyli opowieści
Dzieci Potulic

Błyski
czyli opowieści Dzieci Potulic

Maciej Wąsowicz

Redakcja
Wojciech Maćkowski

Projekt okładki, opracowanie graficzne i skład
Izabela Mikusek

Wydawca
Urząd Miasta Czeladź 2007

Druk
Wydawnictwo i Drukarnia TRIADA, Wojkowice

Nakład
500 szt



ISBN 978-83-925106-1-1

Zachować od zapomnienia

Głucha cisza, szloch, łzy, nerwowe odłożenie słuchawki – emocje, które towarzyszą wspomnieniom z obozu przeszkadzają odtworzeniu historii. Kiedy decydowałem się na napisanie tej książki myślałem, że będzie łatwiej. Miałem nadzieję, że po sześćdziesięciu latach rany zdążyły się zabiżnić. Myślałem, że porozmawiam, jeśli nie ze wszystkimi, to przynajmniej z większością tych, którzy mogą coś jeszcze pamiętać.

Rzeczywistość okazała się zupełnie inna. Tylko znikoma część spośród „potulickich” dzieci zgodziła się na rozmowę. Setki minut nagrane na moim dyktafonie są chyba najlepszym świadectwem tego, jak trudno wspominać najboleśniejsze chwile.

Chwile pożegnania rodziców, oderwania od ramion matki. Chwile głodu, chłodu i cierpienia. Już nieistniejąca szkoła przy ulicy Będzińskiej jest dla wielu spośród Dzieci Potulic ostatnim miejscem, w którym widziały swojego tatę, swoją mamę. Tam na posadzce, kiedy one tuliły się do matczynych ramion, twarzami do ziemi leżeli ich ojcowie.

Historia, dla mnie zamierzchła, dla moich rozmówców była wciąż „żywa”. Po tylu latach pamiętali całą drogę do miejsca swojego przeznaczenia. Przeznaczenia, które zgotował im niemiecki oprawca.

Zauważyłem jak trudno jest się otworzyć, przywołać w najdrobniejszych szczegółach najtragiczniejsze chwile życia. Rozmowa z ludźmi pokolenia Moich Dziadków nauczyła mnie pokory wobec wszystkiego, co mnie otacza i szacunku dla historii. Historii, której nie można zapomnieć, bo tak, jak jest częścią życia Dzieci z Potulic, tak powinna być częścią naszej wspólnej biografii.

Aż w końcu historii, którą warto wspomnieć, choć taką symboliczną publikacją. Dlaczego? Po prostu – dla zachowania tego, co najcenniejsze.

Autor

*Pomnik na potulickim cmentarzu upamiętnia istnienie w mieście hitlerowskiego obozu
Zdj. Maciej Wąsowicz*





Obóz w Potulicach – krótki rys historyczny zaczerpnięty z tablicy informacyjnej znajdującej się na cmentarzu w Potulicach stojącego, w miejscu dawnego, hitlerowskiego obozu.

O becnie, istniejący na miejscu niegdyśszego obozu cmentarz jest jedynym z miejsc pochówku ofiar hitlerowskiego terroru. Pierwsze wzmianki o powołaniu obozu pochodzą z listopada 1940 roku. Potulice miały pełnić funkcję obozu zbiorczego dla wysiedlanej z Okręgu Gdańsk-Prusy Zachodnie ludności polskiej. Pierwszy transport wysiedleńców z Bydgoszczy przybył tu 4 lutego 1941 roku. Od 1942 do Potulic zaczęli napływać Polacy kierowani przez władze policyjne za odmowę przyjęcia trzeciej grupy niemieckiej listy narodowej (DVL-Deutschvolksliste), udzielanie pomocy konspiracji niepodległościowej, ucieczki z Wehrmachtu. W lutym 1943 roku do Potulic zostali przeniesieni więźniowie z podobozów ze Smukały, a w maju i czerwcu więźniowie toruńskiej „Szmalcówki”. W październiku 1943 roku umieszczono w obozie 542 dzieci ze Związku Sowietów, a w 1944 r. polskie dzieci ze Śląska, których rodzice zostali za działalność konspiracyjną umieszczeni w obozach koncentracyjnych. W końcu 1944 roku wysiedlono do obozu również mieszkańców okolicznych wiosek pod zarzutem udzielania pomocy więźniom Potulic. Ponieważ w obozie przeważały dzieci i młodzież, należy go zaliczyć do jednego z największych obozów hitlerowskich dla młodocianych. W pierwszym okresie obóz składał się z pałacu i przyklasztornych pomieszczeń gospodarczych. Szybko dobudowano trzy prowizoryczne baraki bez okien i ogrzewania. W tych tzw. „murzyńskich barakach” więźniowie spali na gołej posadzce lub ziemi pokrytej słomą. Ponieważ obóz nie był w stanie pomieścić wszystkich więźniów, jesienią 1941 roku przystąpiono do budowy nowego obozu. Do wiosny 1943 roku zbudowano 30 dodatkowych baraków, w których więźniowie spali na trzypiętrowych pryczach. W 1942 roku otoczono go drutem kolczastym, wałem ziemnym i wieżami wartowniczymi. Straż pełnili uzbrojeni esesmani. Rozbudowany w latach 1941-1943 obóz w Potulicach stał się, co do wielkości, drugim po Stutthofie obozem hitlerowskim na Pomorzu.

Wyżywienie w obozie składało się najwyżej z 250 gram chleba, czarnej niesłodzonej kawy z żołądździ oraz $\frac{3}{4}$ litra zupy. Rezultatem głodu było wycieńczenie organizmu oraz choroby. Przeciętna waga mężczyzn wynosiła 40 kg, kobiet 30-40 kg. Wszyscy więźniowie, włącznie z dziećmi podlegali przymusowi pracy. Z siły roboczej więźniów potulickiego obozu korzystały różne przedsiębiorstwa. Do głównych najemców należały Fabryka Skrzydeł Samolotowych w Pile oraz Zakłady Futrzane Schultza w Gdańsku. Osadzeni w Potulicach byli zatrudniani też w warsztatach stolarskich,



W Potulicach znajdują się setki symbolicznych nagrobków. Wiele dzieci nie dożyło w obozie nawet pierwszych urodzin.
Zdj. Maciej Wąsowicz

koszykarskich, szewskich i ślusarskich oraz w okolicznych niemieckich gospodarstwach rolnych. Z więźniami obchodzono się w taki sam brutalny sposób, jak w obozach koncentracyjnych: bito ich, znęcano psychicznie i fizycznie.

Mimo, że obóz w Potulicach nie był przez Niemców określany mianem koncentracyjnego, prowadzono w nim eksterminację – zabijano chorych i ułomnych. W obozie odbywały się selekcje. 4 października 1943 roku funkcjonariusze SS wytypowali kilkadziesiąt osób chorych, starych i kalek. Całą grupę wywieziono w nieznanym kierunku i zamordowano. Ostatnią selekcję przeprowadzono w końcu 1944 roku. Więźniowie jednak ocaleli, gdyż Rosjanie zdołali wyzwolić obóz.

Ofiarami obozu w Potulicach byli także Żydzi z Wolnego Miasta Gdańska oraz dzieci ze Związku Sowieckiego, przywiezione do Potulic z obozu w Oświęcimiu.

W Potulicach stworzono więźniom takie warunki życia, które w konsekwencji doprowadziły wielu z nich do śmierci. Skandalicznych warunków nie wytrzymały przede wszystkim dzieci, dlatego właśnie ich jest najwięcej na przyobozowym cmentarzu. W tym przypadku można mówić o masowej eksterminacji. Trupy wywożono na wózku w skrzyni z ruchomym dnem. Zwłoki chowano nago, wrzucając po dwie lub trzy osoby do jednego grobu. Dokładna liczba ofiar nigdy nie zostanie poznana.

Antyhitlerowskie podziemie na terenach Zagłębia

Każda epoka ma swoją władzę i konspirację, rządzących i opozycję, tyranów i ich ofiary. Walczące podziemie okresu II Wojny Światowej jest niezwykle. Różni się od podziemia czasów komunizmu, dochodzenia do „Wolnej Polski”. Różni się nie tylko celem walki, ale przede wszystkim metodami. Ze wspomnień działaczy ówczesnej konspiracji wynika, że hitlerowcy nie znali litości, dla nich nie liczył się człowiek. Zwalczali sprzeciw za pomocą „szybkiego cięcia”, najbardziej zbrodniczymi metodami.



Jan Polak dziś, gdyby żył, miałby ponad 103 lata. W czasach II Wojny Światowej był młodym mężem, ojcem dwójki wspaniałych dziewczynek. Do antyhitlerowskiej konspiracji wstąpił w 1942 roku. Jego spisane wiele lat po wojnie wspomnienia są doskonałym studium polityki antyhitlerowskiej i wycinkiem historii wojennego podziemia.

Będąc górnikiem w Kopalni „Saturn” wstąpił do działającej na terenie miasta podziemnej organizacji o nazwie Gwardia Ludowa, której głównym celem była walka z niemieckim okupantem. Jan Polak pełnił w niej funkcję skarbnika i kolportera tajnej prasy.

- Paczki z ulotkami otrzymywałem w konspiracji – pisze w swoich wspomnieniach Polak.

- Rozprowadzałem je z pomocą mojej żony i córek: Janiny i Czesławy, na terenie Czeladzi, Grodźca, Piasków i Milowic.

Zebrania organizacji odbywały się w domach członków Gwardii. Tylko u Jana Polaka konspiratorzy spotkali się ponoć kilkanaście razy. W spiskowych mityngach uczestniczyli noszący różne pseudonimy towarzysze z wielu stron regionu.

Jan Pieniążek, Michał Bąk, Stanisław Bogucki, Stanisław Faska, Antoni Biedroń z bratem, Bronisław Nocoń, Bogusław Knap, Stanisław Kopeć, Antoni Szuster, Marian Przybyłek, Kaleta, Szydło, Nurkowski, Proszowski, Pobiega, Wojciechowski – te nazwiska zagłębiowskich konspiratorów przewijają się przez karty, na których swoje wspomnienia spisał Polak. Wszyscy oni zostali zamordowani przez hitlerowców.

Gwardia, w pierwszej fazie swojej działalności, zajmowała się sabotażem. Jej członkowie w miejscu zatrudnienia niszczyli narzędzia, urządzenia techniczne i maszyny, opóźniali transporty oraz wydobywanie w kopalniach.

Jednak w sierpniu nastąpiło coś, co prędzej czy później, nastąpić musiało. Gwardia Ludowa została zdekonspirowana, a jej członkowie stali się najbardziej poszukiwanymi przez hitlerowców bandytami. Gestapo ponoć już od początku 1943 roku przygotowywało się do likwidacji antyhitlerowskiego podziemia w Zagłębiu. W nocy, którą potulickie dzieci trzymają głęboko w pamięci, przez Czeladź i inne miasta regionu przeszła fala aresztowań. Zatrzymań, które w Oświęcimiu, Potuli-

cach i innych obozach, zebrały swoje tragiczne żniwo.

Do wspomnień swojego ojca trzy grosze dorzuca Janina Zachariasz. W jej głowie pozostały jeszcze wspomnienia tamtych lat. Przypomina sobie, że Gwardia, a co za tym idzie – ojciec – zajmowała się szeroko zakrojonym kolportażem antyniemieckiej prasy i ulotek o treściach wymierzonych w okupanta.

- Ojciec chował je w chlewie, razem z całym inwentarzem – rozpoczyna wspomnienia pani Janina. – Często razem z siostrą pomagałyśmy mu w kolportażu. Uważał, że jeśli będzie spacerował ulicami miasta z córką, wyda się to mniej podejrzane.

Noc z 10 na 11 sierpnia 1943 roku pokazała jak bardzo się mylił.

„Idźcie, idźcie, bo was pobiją”

Sierpniowa noc. Rozbite rodziny. Aktion Oderberg.

Szukając w internetowych witrynach wyrażenia „Aktion Oderberg”, nie znalazłem żadnego materiału historycznego, żadnych wspomnień, wyjaśnień, rysu wydarzeń. Nic poza wirtualnym sklepem, w którym można zaopatrzyć się w wojenne pamiątki. W Internecie pozostała tylko karta pocztowa wysłana z obozu w Potulicach 15 października 1944 roku. Oczywiście ocenzonej – przez Niemców zatwierdzonej do wysyłki.

Ponad 60 lat później, jej właściciel, który otrzymał ją w spadku po dziadkach, lub natrafił na nią podczas przeszukiwania dokumentów na strychu, chce ją sprzedać za 200 zł. Historia, którą ta stara, zniszczona karta w sobie niesie, warta jest znacznie więcej. Oblana ludzkimi łzami, dotykana spoconymi z emocji dłońmi, jest bezcenna.

Jej napisanie mogło być i pewnie było spowodowane wydarzeniami pewnej sierpniowej nocy, która sprawiła, że stopy obozowej korespondencji, wychodzącej spod dziecięcego ołówka, trafiały przez następne miesiące do rodzin, które pozostały w domach.



- Nieludzki łomot, krzyk i płacz – tyle z nocy z 10 na 11 sierpnia 1943 roku zapamiętał Zygmunt Bartoś. Miał wtedy 8 lat. Niemcy przyszli, kiedy cały dom jeszcze twardo spał.

Do dziś niejednokrotnie wspomina obraz szkoły na rogu przy ulicy Będzińskiej. Mieszkał wtedy przy ulicy Słonecznej. Pamięta, że o czwartej nad ranem ktoś zaczął walić do drzwi. Rodzinę wyrwano z głębokiego snu. Tak jak stali, tak wywleczono ich na dwór, eskortowano do szkoły.

W budynku, w którym ich zgromadzono nie było posadzki tylko kocie łby. Już feralnej nocy rozpoczęła się pierwsza segregacja.

Zygmunt Bartoś: Ojców oddzielono od reszty rodzin. Nam kazano czekać w sali, w której znajdowały się umywalki. Pamiętam obraz leżącego twarzą do ziemi ojca. Tak zapamiętał go już na zawsze, ponieważ okazało się, że wtedy widział go po raz ostatni.

Zygmunt Bartoś: Wywieźli nas do Mysłowic. Jeden krzyk i strach – raus, raus – ciągle krzyki. Wszystko pamiętam z perspektywy dziecka, to z jednej strony gorzej, z drugiej lepiej. Strach nie sprzyjał obserwacjom. Trzymaliśmy się rękawa matczynej sukni i poza tym świat dla nas nie istniał. Nie byliśmy tam długo – dwa może trzy tygodnie.

Najgorsze, co spotkało nas w Mysłowicach to rozłąka. Ojca odłączono od nas jeszcze w Czeladzi, matki pozbawiono właśnie tam.

Wchodziło się do łaźni. Tam umundurowani żołnierze kazali przebierać się w więzienne ciuchy. Matki od dzieci wyrrywali siłą. Dziś nikt nie potrafi sobie wyobrazić,

Rodzina Parków (od lewej) Marianna, Barbara, Jerzy-Piotr, Wiktor



Aktion Oderberg: w Szkole Podstawowej nr 1 Niemcy urządzili punkt zbiorczy, skąd rodziny wysyłano do Mysłowic

że dziecko można wziąć za rękę i cisnąć nim o ścianę. Byłem wtedy razem z innymi chłopcami na jednej z sal, na której rzędem stały trzypiętrowe łóżka. W pewnym momencie wygonili nas na dwór, gdzie dokonali selekcji. To był drugi dzień pobytu w Mysłowicach i ostatni, w którym widziałem swoją matkę.

Matka Zygmunta Bartosia trafiła do Oświęcimia. Tam zmarła w niecałe cztery miesiące od momentu aresztowania.

Janina Zachariasz, podobnie jak o kilka lat młodszy Zygmunt Bartoś, przechowuje w pamięci najtragiczniejsze chwile swojego życia.

Janina Zachariasz: Tatuś celowo pracował tylko i wyłącznie na nocnej zmianie. Chciał utrudnić Niemcom aresztowanie. Wiedział, że kiedyś w końcu przyjdą.

Przyjechali do nas po trzeciej nad ranem, kiedy nie było go w domu. Pracowałam wtedy w ogrodnictwie, przy hodowli jedwabników. Akurat miałam wychodzić do pracy, zbierać morwowe liście, póki jeszcze były wilgotne od rosy. Wówczas wyszarpali nas z łóżek. Później metodycznie, ale w wielkim pośpiechu przeprowadzali rewizję. Szukali ulotek, ale na nasze szczęście, nic nie znaleźli. Mnie, siostrze, matce, udało się wziąć tylko to, co było pod ręką, tylko to, co udało się akurat chwycić w dłonie.

Po sąsiedzku mieszkał dziadek Janiny Zachariasz. Wobec agresji Niemców był jednak bezsilny. Mógł jedynie patrzeć, jak ci porywają niemal całą jego rodzinę.

Janina Zachariasz: Niemcy zapukali niemal równocześnie do wszystkich mieszkań w Czeladzi. Tatuś na swoje szczęście był na dole, w kopalni. Zawsze wiedział, czego ma się bać. Często słyszałam, jak rozmawiał o tym z mamusią.

Tej nocy Niemcy nie bili nas, szarpali tylko i krzyczeli, tak - krzyk był najgorszy.

W kilka chwil później zapukali do domu obok – do Kaptaczów.

Obydwie rodziny odprowadzili na miejsce zbiórki przy Szkole nr 1.

Ojcowie leżeli twarzami do ziemi. Dzieci na szkolnym korytarzu. Niemcy przyprowadzali coraz to nowe rodziny. Pani Janina, jej siostra i matka patrzyły tylko, czy następny mężczyzna, którego przyprowadzą nie okaże się ich ojcem. Choć bardzo chciały, by wtedy był przy nich, wiedziały też, że jego nieobecność oznacza dla niego życie. Odmeldowanie na przyszkolnym placu było jak podpisanie wyroku śmierci. Po paru godzinach Niemcom wyczerpał się limit czasu. Pod szkołę podjechały samochody ciężarowe, by zabrać rodziny do Mysłowic.

Janina Zachariasz: Tam nastąpiła segregacja, najtragiczniejszy moment. W brutalny sposób rozbili rodziny. Było zaraz po śniadaniu rano. Szum i gwizd, kazali wychodzić z cel, według kolejności z kartki. Wyczytywali nas jedno po drugim. Każda matka wychodziła z dzieckiem na rękę lub przytulonym do piersi. Niemcy łapali dziecko jak przedmiot i odrzucali na bok. Krzyk, płacz, lament. Rozdzielali nas do dwóch różnych samochodów. To był najbardziej pamiętny dzień. Mama płakała i mówiła do nas: idźcie, idźcie, bo was pobiją.

Jan Polak, ojciec Janiny Zachariasz, zdołał ująć przed aresztowaniem. Sierpniowa

noc, przynajmniej dla niego okazała się szczęśliwa. Koledzy z kopalni w porę dali mu znać, że Niemcy przyszli do jego domu. Polak ukrył się w zwaliskach węglowych. A kiedy wszystko ucichło wymknął się bocznym szybem, a później ukrywał u rodziny w okolicach Olkusza.

Matka Janiny Zachariasz trafiła do Oświęcimia. Była bardzo chora, znerwicowana, miała kłopoty z żołądkiem. Obóz jednak przeżyła. Nadzieja, że jeszcze kiedyś zobaczy córki i męża utrzymywała ją przy życiu.

Do Oświęcimia często jeździł pan Jan. Tam nadawał paczki z jedzeniem, by żona dostała coś świeżego. Miała szczęście i wielką wolę. Wole życia.

Janina Zachariasz: Tylko trzy mamy wróciły.



Droga do Potulic

Ścieżki życia wiją się w tylko sobie wiadomym kierunku. Piętno na drogowskazie życia więźniów Potulic odcisnął niemiecki okupant. Ścieżki ich życia są pogmatwane, pełne niepotrzebnego cierpienia i bólu, z którym musieli mierzyć się każdego dnia. Bólu fizycznego podczas bosych spacerów do „toalety” w siarczystym mrozie i tego bólu gdzieś w głębi, z tęsknoty i rozpacz, bólu odmierzzonego ilością łez wylanych w siennik na przychy oblepionej pluskwami, która przez wiele miesięcy była dla nich domem.



Większość czeladzkich dzieci Potulic wróciła do rodzinnego miasta razem. Jednak ich drogi do obozu przeznaczenia znacznie się różniły. Niemcy tasowali dzieci, próbowali zdezorientować, jednak one cały czas wiedziały kim są, skąd pochodzą, nie wiedziały tylko dokąd tak naprawdę zmierzają.

Zygmunt Bartoś: Najpierw był Pogrzebień. Przyjechaliśmy tam prosto z Mysłowic. Niemcy ulokowali nas w budynku, w którym teraz mieści się klasztor.

Pobyt w Pogrzebieniu był dla grupy kilkudziesięciu dzieci dopiero przedsmakiem prawdziwego dramatu w obozie. Murowany, kamienny dom, dawał w odróżnieniu od późniejszych baraków względną ochronę przed największym wrogiem młodego organizmu – mrozem, za którym często szło skrajne wyziębienie i ciężkie choroby. Pogrzebieński obóz w budynku, który dziś należy do Sióstr Salezjanek, hitlerowcy utworzyli w 1943 roku. Przetrzymywano tam Polaków przetransportowanych z okolic Żywca, Bielska oraz kilku miast Śląska. Za drutem kolczastym znalazły się całe rodziny, szczególnie dużo było jednak ludzi starszych oraz młodzieży w wieku od 18 do 20 lat. Pod osłoną nocy do obozu trafiały kolejne ludzkie transporty. Najbardziej wstrząsające, co opisywano szeroko w prasie, były te, które przybyły do obozu w 1943 roku. Przywieziono nimi dzieci, z których najmłodsze mogło mieć najwyżej dwa lub trzy dni.

W obozie były segregowane. Prowadzono na nich badania. Śladem bytności młodocianych więźniów w Pogrzebieniu jest przydrożny obelisk ufundowany przez mieszkańców gminy i poświęcony, jak głosi napis: „polskim dzieciom pomordowanym w obozie”.

Wszystkim obozowiczom pozwalano tam zachować cywilne ubrania. Z terenu ogrodzonego drutem kolczastym wychodzili tylko do pracy. Zatrudniani byli często zgodnie z posiadanymi kwalifikacjami - w miejscowych gospodarstwach lub na polu. W obawie o swoje życie więźniowie nie dzielili się swym tragicznym losem z obcymi. Dlatego



bränder
Tarnobrzeg
Karlshof Lager
ohnort, auch Post- oder Leibesamt
Kr. Leobseystz
Straße, Hausnummer, Gebäudeteil, Blockwerk oder Postschließfachnummer

Postkarte



przywiesze ze
dwie sukienki
i koszulki z
majtki i parę
jakich zabawek
do widzenia Papa
Tarnobrzeg 14-18

Kowalik Jurek
Lxeladri stelegas
36. Kr. Bendrhu

Straße, Hausnummer, Gebäudeteil, Blockwerk oder Postschließfachnummer

Obozowa korespondencja musiała zostać zatwierdzona do wysyłki przez hitlerowców.

rdzenni mieszkańcy Pogrzebienia, choć często się z nimi spotykali, niewiele wiedzieli o sytuacji wewnątrz obozu.

Wiedzieli tylko, że panował tam niewyobrażalny głód. Więc pomimo problemów z żywnością, mieszkańcy z narażeniem własnego życia gromadzili ją i przerzucali przez druty.

Jedna z kobiet pamiętający obóz wspomina jednego więźnia, starego mężczyznę, u którego hitlerowcy znaleźli w ten sposób przemyczone jedzenie. Bili go, katowali, ale on nie zdradził skąd wziął pożywienie.

Mieszkańcy Pogrzebienia, pomagając więźniom, sami często ocierali się o śmierć. W mieście nie ma chyba rodziny, której losy nie spletałyby się z historią ludzi mieszkających za drutami obozu. Wielu rdzennym mieszkańcom Pogrzebienia, za pomoc, której udzielali więźniom, groziły obozy zagłady. Wielu trafiło do nich.

Dookoła budynku roztaczał się też duży ogród, w którym dzieci zmuszano do niewolniczej pracy.

Zygmunt Bartoś: Pracowali tylko starsi – dziewięcio i dziesięciolatkowie. Podczas tych prac łatwo było się wyrwać. Pamiętam, że mojemu ciotecznemu bratu udało się uciec z Pogrzebienia właśnie podczas pobytu w ogrodzie.

Bartoś pamięta też kary, które Niemcy wymierzali młodym więźniom. Jego kuzyn, któremu udało się zbiec, od początku pobytu tam był „rogatą duszą”.

Bartoś: Był tylko o rok starszy ode mnie, ale zawsze coś przeszkrobał. Niemcy zamykali go wtedy w piwnicy. Wtedy ja przynosiłem mu zupę z jakiś liści, dziś można by ją nazwać botwinką.

Dzieci jadały w jadalni przy sporych rozmiarów drewnianym stole. Jak mówi Zygmunt Bartoś nigdy nie zaznali tam smaku mięsa. Bardzo monotonna jadłospis oparty był właściwie wyłącznie na zupie, którą Bartoś raczył swego niepokornego kuzyna.

Pogrzebień był obozem, w którym dzieci mogły być odwiedzane przez rodziny. Z uwagi na niewielką odległość od Czeladzi często zdarzało się, że do maluchów przyjeżdżały ciotce i wujkowie.

Bartoś: Rodziny odwiedzały nas tam dość często. Pamiętam, że do mnie przyjeżdżała stryjenka. Wszyscy starali się przywozić co tylko mogli, dożywiali nas.

Niemcy jednak dokładnie i skrupulatnie kontrolowali każdą paczkę, najdrobniejszą przesyłkę. Zdarzało się, że niektóre pakunki znikwały w niejasnych okolicznościach. Dla dzieci prawdziwym rarytasem było dosłownie wszystko, co konsystencją, zapachem i smakiem różniło się od zupy z liści.

Bartoś: Moja babcia przysyłała mi przez stryjenkę opiekany chleb smarowny grubo czosnkiem. Dzieliłiśmy się wzajemnie. Ten, kto w jednym tygodniu nie dostał nic, dostawał w następnym. W ten sposób jakoś udawało się przeżyć.

Podczas pobytu w Pogrzebieniu doszło do kilku incydentów. Pan Zygmunt wspomina mrozącą krew w żyłach sytuację. Jednego tygodnia Niemcy nie wpuścili rodzin, które przyjechały zobaczyć swoje dzieci. Czekających na odwiedzinę odganiał od bram posiadłości. Wówczas zdenerwowani ludzie obrzucili hitlerowców jajami.

Do młodych więźniów przyjeżdżali nie tylko członkowie dalszej rodziny, ale także najbliżsi. Ukrywający się pod różnymi fałszywymi nazwiskami Jan Polak często odwiedzał swoje córki.

Janina Zachariasz: Tatuś przyjeżdżał podając się za naszego wujka. Używał nazwiska Grzyb albo Kuźniak. Pewnego dnia nastąpiła dekonspiracja. Nie świadome niczego koleżanki, zaczęły krzyczeć, że do Polaków nie przyjechał wujek a tatuś. Wtedy dałyśmy mu znak by szybko odszedł od bramy. Ojciec przekazał nam tylko paczkę i jakiś czas w ogóle się nie pokazywał.

Mimo tego, że pobyt w Pogrzebieniu był dla większości najlżejszą częścią wędrówki do Potulic, to niektóre dzieci i tego nie zdołały wytrzymać. Z relacji świadków wynika, że kilkoro z nich zmarło.

Nic innego jak panujący w obozie głód powodował wśród więźniów dużą śmiertelność. Dlatego też ludziom pamiętającym tamte czasy trudno uwierzyć w oficjalne szacunki, które mówią o 42 ofiarach śmiertelnych pogrzebieńskiego obozu.

Część dzieci z Pogrzebienia pojechała do Gorzyc lub Kietrza, inne zostały wywiezione 200 kilometrów dalej - do podpraskiego Beneszowa, jeszcze inne trafiły do obozu zbiorczego w Rybniku.

Zygmunt Bartoś: Nas wywieziono do Rybnika. Pamiętam, że zastaliśmy tam dwa baraki. Spędziliśmy tam znacznie więcej czasu niż w Pogrzebieniu.

Tam po raz pierwszy dzieci musiały zmierzyć się z ciasnotą i przejmującym zimnem sięgającym nawet trzydziestu stopni poniżej zera.

Bartoś: W barakach nie było latryn. Żeby się załatwić brnęło się przez śnieg w drewniakach aż na koniec obozu, gdzie zlokalizowane były ubikacje.

Ubikacjami pan Zygmunt nazywa drewniane latryny, w których, by załatwić potrzebę trzeba było usiąść na zwykłym kiju dbając przy tym o zachowanie równowagi.

Bartoś: Nie było nawet deski. Niejeden wpadł do głębokiego wykopu z fekaliami. Ale dzieci rzadko odwiedzały latryny. Nie wychodziły z baraków. Bały się z jednej strony zimna, z drugiej ciemności. Każde wyjście do latryny przy trzydziestostopniowym mrozie oznaczało bowiem wiele dni ciężkiej choroby.

Baraki, w których mieszkaly dzieci były wykonane z dykty. W czasie największych mrozów głowa przymarzała ponoć do siennika. Przykryte tylko kocem często moczyły się w swoich łózkach. Smród, strach i brud – tak Zygmunt Bartoś wspomina pobyt w Rybniku.

Według jego relacji cały obóz składał się z kilku baraków przedzielonych kuchnią i składem buraków pastewnych - podstawy żywieniowej w obozie. W pierwszym budynku mieszkało „kapo” – strażnicy pilnujący porządku. W którymś z kolejnych spała grupa z Czeladzi. Dzieci, w ziemie właściwie nie wychodziły poza obręb czterech ścian drewnianych bud. Tam jadły z aluminiowych misek, załatwiały swoje potrzeby, spały.

Na wiosnę, stłoczone w samochodach ciężarowych, z Rybnika przewieziono je do czeskiego Bogumina. Tam przez bardzo krótki czas mieszkaly w wysokim murowanym domu sąsiadującym ze stadniną koni. Nie wolno im było nigdzie wychodzić. Niemcy ostrzygli je na łyso, bo wszędobylskie wszy rozprzestrzeniały się w zastraszającym tempie.

Janina Zachariasz również trafiła do obozu w Czechach, gdzie, jak wszystkie starsze dzieci, pracowała w polu. Właśnie praca poza granicami obozu, stwarzała największe możliwości ucieczki.

geb. 15. 8. 1914

gest. 26. 1. 44 an Herz-Kreislaufer-
fizienz.

Wanderer aus München

0. 72 Rpt. in dem Brief verlegt
in Masken.



Janina Zachariasz: Kiedy ojciec dowiedział się gdzie jesteśmy, chciał nas wykraść. Przyjechał z zamiarem namówienia nas do ucieczki z obozu. Pamiętam, że kiedy pracowałam przy zbożu przekupił strażnika dając mu papierosy. Później zabrał mnie na lody. Pracował nade mną, błagał żebym namówiła do ucieczki siostrę. Sama miałam na to ogromną ochotę, ale siostra, choć młodsza, była ode mnie mądrzejsza. Zaprotestowała twierdząc, że przez nas będą cierpieły inne dzieci. Solidarnie zostałyśmy.

Ludzie ludziom zgotowali ten los...

Dzieci nawet kiedy trafiły na miejsce i tak nie wiedziały, że tu kończy się ich więzienna tułaczka. Kiedy stanęły przed bramą obozu zobaczyły szereg bliźniaczych baraków, prawdziwy więzienny kombinat. Kombinaty pracy, samotności, męki i cierpienia. Fabrykę najboleśniejszych w życiu wspomnień. Wspomnień, które już na zawsze w głowach wielu z nich pozostaną głęboko schowane, jako te najboleśniejsze, do których po prostu – nie warto wracać.

Paradoksalnie, to, co dla nich stanowi największy koszmar, dla innych, starszych więźniów, budowniczych obozu, było losem wygranym na loterii życia



Der Lagerkomendant SS – Oberstrumbahnführer Max Pauly – od niego wszystko się zaczęło.

Osobiście dokonywał przeglądu kadr, które miały pojechać pierwszą partią ze Stutthofu na „Aissankomando Potulitz”.

Tuż przed wyjazdem razem z dwoma scheriberami sprawdzał przydatność do pracy 180 ludzi – pierwszych budowniczych obozu w Potulicach.

Mieczysław Nieznański, były więzień obozu koncentracyjnego Stutthof: Wyjeżdżali w lutym lub w marcu 1942 roku. Sami fachowcy ubrani w cywilne ciuchy. Zresztą cała grupa podzielona była na dwie części w wyniku oględzin przeprowadzonych przez komendanta. Pierwsza, większa część, pojechała do Potulic od razu, natomiast nas trzynastu zostawili jeszcze w Stutthofie. Dostaliśmy się wtedy na osobną sztabę. Pod opieką miał nas hauptsturmführer Dytman – zdaje się – drugi zastępca Paulego po Schwartz. Pamiętam jeszcze Nymana, którego później widziałem w Potulicach. W obozie segregowano ludzi na tych, którzy ze względu na wygląd mogli nadawać się na volksdeutschów i innych, którzy tym jakimś warunkom nie odpowiadali. Mnie, choć byłem blondynem i podobno miałem cechy Nordyka, do tej grupy nie zaliczono, natomiast ci koledzy, którzy uznano za nordyków zostali wcieleni do wojska.

Potulice były obozem przesiedleńców. Było tam jedynie Ausenkomando ze Stutthofu. Pierwsza pojechała tam grupa rzemieślników. Ja dojechałem w lipcu. Na miejscu zastałem stary obóz oraz nowy, budujący się właśnie na sąsiednich terenach. W starym były dwa prymitywne, długie, wysokie na dwa metry i kryte słomą baraki. W nowym stało dwadzieścia baraków zbudowanych w podkowę, tak jak u nas, w Stutthofie. W środku stał do połowy murowany, a od połowy wykonany z drewna gmach zwany „Wirtschaftsgebäude”. Była w nim duża sala z fortepianem, na którym zresztą czasem grywałem.

Pierwszym komendantem Potulic był chyba Redig, potem zastąpił go ktoś inny. Cały obóz zorganizowany był na wzór Stutthofu. Ponieważ przyjechałem tam jako malarz byłem przydzielony do grupy malarskiej, stąd wiem tak dobrze, jak się ten

Spokojny śmiech w Potulicach
 przyszedł polskie dzieci tu
 co abipolskiy wiorod zomiesci
 by tu giony skonić tu.

Motke procy pacyste
 w niej ter, mado jaje i sledzie
 bym procy procyter ty.

Decs kamrat bardzo dobre
 braci mlu elos' skubugi olej
 zostaty mi ty opomy sledzi
 i parę skonyj jay.

10.1.1944

obóz budował.

Do nowych baraków, które były właśnie wykańczane przenoszono warsztaty rzemieślnicze. Były one bardzo starannie budowane, dużo staranniej niż te w Stutthofie. Instalowano w nich wodociągi, umywalnie, dbano o higienę.

Każdy barak miał Ordmagafurera – nazywało się go porządkowym. W Potulicach panował język polski.

Jako, że każdy obóz musiał przynosić dochód, więc organizowano tam stojące na wysokim poziomie warsztaty. W krawieckim pracowała moja żona. Szyto tam wyborne stroje, mundury dla ss-manów oraz cywilne ubrania.

Na terenie obozu znajdowały się też stolarnie, w których robiono piękne meble. Były też łaźnie, gdzie, mimo sporych kłopotów z zaopatrzeniem w wodę, więźniowie zażywali obowiązkowych kąpeli.

Więźniowie przywiezieni do Potulic ze Stutthofu początkowo mieszkali razem. Później, stopniowo ich rozdzielano, aż w końcu „wsiąkli” w inne baraki.

Rzemieślnicy aż do końca mieszkalni w siódmym baraku. Było tam około 150 ludzi rozlokowanych na piętrowych łóżkach, na których leżały sienniki, poduszki oraz pościel.

Dla więźniów ze Stutthofu Potulice były ziemią obiecaną, rajem, z którego nie chcieli wyjeżdżać.

Nieznański: Stutthofem często nam grożono. Ta nazwa była dla nas groźna. W Potulicach polepszyły nam się warunki i wytworzył się między nami zupełnie inny klimat. Stworzyliśmy zgraną paczkę. (...) Jednym słowem przejście do Potulic, to była wielka wygrana. Nawet ja, który jestem z natury humanistą i pewnego rodzaju życiowym niedołęgą, tam mogłem rozwinąć swoje talenty – zrobiłem bileciki w języku polskim dla więźniów oraz Niemców, za co dostałem paczkę papierosów. Z kolei na pierścionkach, które robili koledzy, rysowałem monogramy, za co dostawałem jedzenie.

SS-mani często przeprowadzali rewizje, podczas których znajdowali wykonane przeze mnie bileciki. Ich treść była jednak bardzo bezbarwna. Więźniowie często prosili mnie bym pisał na nich np. „z obozu męki”, ale nie godziłem się na to, żeby nikomu nie podpaść. Niemcy, choć znajdowali te bileciki, nie wyciągali żadnych konsekwencji.

W Potulicach stworzyliśmy też orkiestrę. Za moich czasów w Stutthofie nie przypominam sobie podobnych inicjatyw. Tam nawet nie wolno było nam chodzić w parach, tylko pojedynczo.¹

W trzy miesiące po Nieznańskim do Potulic trafił inny więzień Stutthofu – Stani-

¹ Mieczysław Nieznański był więźniem obozu Stutthof o nr 4589. Urodził się w 1906 r. w Warszawie. Po wojnie pracował w Ministerstwie Kultury i Sztuki. Jego relacja spisana przez historyków Muzeum w Stutthofie znajduje się w tamtejszych archiwach

sław Matuszczak²:

Do Potulic wywożono ludzi partiami. Pierwsi pojechali inżynierowie oraz kreślarze – w sumie 12 osób. Transporty rozpoczęły się we wrześniu 1942 roku. Później wywożono murarzy, stolarzy i innych fachowców. W transporcie, w którym tam przyjechałem było 30 osób. Jechaliśmy budować obóz. Kiedy przyjechalismy na miejsce, nie było jeszcze żadnych baraków. Stał tylko, otoczony drutem kolczastym, pałac Anieli Potulickiej.

Załogę ss-mańską stanowili żołnierze przywiezieni ze Stutthofu. Matuszczak pamięta, że komendantem obozu był wtedy niejaki Rylle, a jego zastępcą Tentsadt. Kiedy jego transport przyjechał do Potulic więźniowie mieszkali jeszcze w pałacu, a nieopodal budowano baraki. Kiedy ukończono ich budowę w pałacu przygotowano mieszkania dla ss-manów.

W 1943 roku, czyli wówczas, kiedy dotarli tam dzieci z Czeladzi, budowa obozu była już zakończona. Kolejne wykopy wskazywały jednak na to, że obóz będzie się rozbudowywał.

Matuszczak: Warunki bytowe i system pracy w Potulicach nie różniły się niczym od tych w Stutthofie. Wyżywienie również było podobne.

Nieco wcześniej przed Nieznańskim, w październiku 1941 roku, do Potulic przywieziony został Edmund Nitkiewicz:

W Potulicach przybywali wysiedleńcy, przeważnie rolnicy, Polacy z terenu Pomorza. Wysiedlenie przebiegało w sposób typowo hitlerowski. Nagle w nocy, w ciągu kilku minut cała rodzina z dziećmi, starcami i chorymi, bez bagażu musiała opuścić swoje mieszkanie. Początkowo wszyscy byliśmy stłoczeni w zamku, potem w nowo wybudowanym obozie. Przybywały tam kobiety, dzieci oraz mężczyźni. W początkowym okresie obóz w Potulicach był uzależniony od administracji Stutthofu, później stał się niezależną placówką.³

Według relacji Nitkiewicza w szczytowym okresie w obozie mogło przebywać nawet dziesięć tysięcy ludzi.

² Stanisław Matuszak był więźniem obozu Stutthof. Urodził się w 1913 roku w Lubomierzu. Aresztowano go na Helu. Po wojnie zamieszkał w Warszawie. Jego relację, która znajduje się w archiwach Muzeum w Sztutowie zebrała Irena Aftanas.

³ Edmund Nitkiewicz był więźniem obozu Stutthof o nr 6.073. Urodził się w 1902 r. we wsi Bronowo znajdującej się w powiecie łomżyńskim. Przed wojną był technikiem budowlanym, po inżynierem. Jego relacja spisana przez pana Leszka Sobczyńskiego znajduje się w archiwach Muzeum w Sztutowie.

Życie i praca w obozie

Perspektywa dziecka tak bardzo różni się, od tej, z której świat postrzega osoba dorosła. Wszystko wydaje się większe i straszniejsze, budzące respekt. Choć relacje dzieci kładą nacisk na coś zupełnie innego niż sprawozdania dorosłych więźniów, łączy je fragmentaryczność i emocjonalność przeżywania miesięcy spędzonych w obozie. Wszyscy pamiętają szczegóły, na pierwszy rzut oka banalne i niewiele mówiące. Jednak ich relacje, to nie aptekarski opis rzeczywistości, ale coś znacznie cenniejszego – sprawozdanie z postrzegania świata, życia wewnętrznego. Sprawozdanie ze wspomnień, nad którymi warto się zastanowić, a nie tylko przejrzeć lub przeczytać.



Część czeladzkich dzieci przywieziono do Potulic prosto z czeskich obozów. W jednym z takich transportów do podbydgoskiego obozu trafiła Janina Zachariasz:

Z Czech wyjechaliśmy transportem kolejowym. Jako jedna ze starszych dziewcząt zostałam z młodszymi, by się nimi opiekować. Kiedy zajechaliśmy na miejsce od razu zaprowadzili nas do łaźni. Później całej grupie zrobili przegląd włosów, bo wszy były wszechobecne. Część ogolono, ja na szczęście się ustrzegłam. Insekty jakoś nie chciały się mnie trzymać. Miałam długie gęste włosy, ale bardzo o nie dbałam. Siostra pomagała mi je często myć.

Po myciu dano nam numerki. Tej liczby nigdy nie zapomnę – w Potulicach byłam numerem 720. Razem z siostrą zamieszkałam w baraku nieopodal warsztatu lotniczego, gdzie pracowali dorośli już więźniowie.

Cześć więźniów, a wśród nich właśnie pani Janina, wyjeżdżało z potulickiego obozu do pracy w Rzeszy.

Zachariasz: Należałam do starszej młodzieży, która została wysłana do pracy w Niemczech. Mieli do nas taki stosunek, jak ma się do dzieci bandytów. Jednak nawet tam nie dostrzegłam działań germanizujących. U niemieckiego gospodarza spędziłam miesiąc w okresie sadzenia ziemniaków i kolejny miesiąc podczas wykopków. Nie mogliśmy narzekać tam na traktowanie. Obchodzono się z nami możliwie. Nie prześladowano nas, nie bito, nie głodzono, nie zmuszano też do mówienia po niemiecku.

Paradoksalnie wyjazdy, podczas których zmuszano kilkunastoletnie dzieci do niewolniczej i wielogodzinnej pracy w polu, Janina Zachariasz wspomina najlepiej. Te dwa miesiące pozwoliły na chwilę odmiany po ciężkim, rygorystycznym życiu w obozie. Czeladzianka wspomina Potulice, jako okres strachu i lęku:

To był bardzo duży obóz. Oprócz rodzin z ziem północnych, przebywały tam także rosyjskie dzieci. Kiedy tam przyjechaliśmy mieliśmy świadomość, jak bardzo daleko jesteśmy od domu. Na codziennych apelach był tylko strach i lęk. Stojąc w równych rzędach, widząc kapo, którzy dzierżyli w rękach pejcze, nie mieliśmy nadziei

A u f s t e l l u n g .

Über 76 Kinder, die am 9.6.1944 aus dem Lager Sobrau/Hybnik - Aktion Odeburg - , dem hiesigen Lager überstellt wurden.

Lfd. Nr.	N a m e	Vorname	Geb.Dat.	Letzter Wohnort:
1.	<u>Bielcki</u>	<u>Eugenile</u>	18.4.28	Czeladz/Bendebg. Katowitzerstr. 7.
2.	Betro	Johann	25.1.38	Krenau, "m Park 16
3.	Bratoszcz	Stefania	4.9.29	Trzetinia/Krenau, Schinkowastr. 35
4.	Caschel	Stanislaus	29.12.30	Berwin/Enchen, Oderbergerstr. 87
5.	Dudek	Therese	7.9.33	Jenzor/Krenau, "attowitzerstr. 9
6.	Kasprzyk	Adolf	28.1.30	Jenzor/Krenau, Wasserweg 160.
7.	Kasprzyk	Helina	8.1.32	Jenzor/Krenau, Dorfstr. 21
8.	Klich	Sofie	22.7.38	Okradzinow/Bendeburg Nr. 47
9.	Knapczyk	Zbigniew	13.3.32	Jenzor/Krenau, Weidenweg 3.
10.	"	Johann	1.1.35	"
11.	Kotus	Heinrich	18.9.29	Piaski/Bendeburg, Siedlungsweg. 168.
12.	"	Georg	17.6.31	"
13.	"	Olgä	25.3.38	"
14.	Kotus	Helina	8.8.39	Piaski/Bendeburg, Siedlungsweg. 16
15.	Koltbert	Georg	---.33	Sornowitz/Bendeburg Sonnenstr. 12
16.	Koziol	Waldemar	7.1.37	SchUMenschütz/Bendeburg Kiefernort. 23
17.	Kozlicki	Leo	6.4.29	Gory Laszowskie/Krenau
18.	Lewicki	Azelius	18.11.27	Wojkowio-Komorze/Krenau Hauptstr. 178.
19.	Lopatka	Johann	8.3.30	Siorecha/Krenau 164.
20.	Marceleszek	Czeslaw	10.12.30	Sornowitz/Bendeburg, Brinitzstr. 30.
21.	"	Johann	3.5.33	"
22.	Michno	Kristian	16.1.39	Piaski/Bendeburg, Wasserweg 9.
23.	Milik	Danute	10.8.29	Sornowitz/Bendeburg Stahlstr. 3
24.	Nowacki	Marian	20.3.31	Sornowitz/Bendeburg,
25.	"	Sofie	14.11.33	Alt-Pogenweg 29.
26.	"	Richard	4.6.40	"
27.	Nowak	Domicela	24.4.30	SchUMenschütz/Bendeburg Krakauerstr. 300
28.	Surzowski	Irena	2.3.30	Piaski/Bendeburg Sornowitzerstr. 110.
29.	Wörzwelek	Czeslaus	11.6.30	Siorecha/Krenau 92.
30.	"	Ignaz	15.4.33	"
31.	Glaszek	Therese	7.7.33	SchUMenschütz/Bendeburg Obertraunau 4.
32.	Glaszowski	Barbara	19.9.39	Stara Maschina/Krenau 192.
33.	"	Marian	10.9.41	"
34.	Palke	Janina	30.10.30	Byozyna/Krenau Wionenstr. 10

Listy więźniów: Przewóz dzieci z obozu do obozu odbywał się na podstawie odpowiednich dokumentów zwanych listami przewozowymi.

na szczęśliwy powrót do domu.

W Potulicach także zmuszano nas do pracy. Za obozową bramą pomagałam przy hodowli świń, pracowałam też w ogrodzie. Na „tagach”, takich taczkach bez kółek nosiło się żarcie dla świń, najczęściej karmiliśmy je obierkami. Inni pracowali w szwalni. Sama zajmowałam się też podklejaniem gumowych butów. Czasem udawało mi się przemycić coś dla mojej o dwa lata młodszej siostry. Czasem przynosiłam jej marchewkę, albo inne warzywa, które udało mi się wynieść z ogrodu. Mężczyźni pracowali przy kopaniu rowów.

Dla najmłodszych więźniów najstraszniejszą postacią był kapo, człowiek odpowiadający za porządek i spokój w obozie. Często bezwzględny i ślepo trzymający się zasad wyznaczonych przez dowódców.

Zachariasz: Potrafił bić o byle co. Chłopców, którzy nie wypełniali jego poleceń, pso-cili lub w jakiś sposób złamali zasady, zamykał do bunkrów. Pilnującym nas kapo był mężczyzną w wieku około 40 lat. Z niczym nie można było się do niego zwrócić. Zresztą nawet nie próbowaliśmy. Na sam jego widok drżały nam nogi ze strachu. Od więźniów odróżniał go mundur wojskowy, albo jednolite czarne ubranie. W obozie było kilku, kilkunastu lub kilkudziesięciu kapo. Kiedy wracałyśmy z pracy do obozu, sprawdzał czy czegoś nie wnosimy. Kiedy ktoś próbował przenieść pożywienie dla kolegów lub rodziny, on bezwzględnie bił: po plecach, po rękach, w to, w co akurat trafił swoim pejcem.

Z chłopcami obchodził się znacznie brutalniej niż z dziewczynami. W zależności od skali wykroczenia, zamykał ich do piwnic pozbawionych jakiegokolwiek dopływu światła, na kilka godzin, czasem nawet dni. Tam chłopcy modlili się o to, żeby przetrwać.

W Potulicach, kilkaset kilometrów od Czeladzi, trudno było o paczkę z jedzeniem. Albo tam nie docierały, albo przejmowali je Niemcy.

Zachariasz: Każda, która do nas docierała była bardzo cenna, wtedy dzieliliśmy ją na wiele części wśród wszystkich więźniów mieszkających w baraku.

Właśnie niedożywienie oraz brud, to główne przyczyny chorób, które w szaleńczym tempie siały spustoszenie w organizmach młodocianych więźniów.

Zachariasz: Chorowaliśmy na biegunki, gorączki, przeziębienia. W obozie znajdowała się izolatka, w której umieszczano najciężiej chorych pacjentów. Na szczęście nigdy do niej nie trafiłam. Dzieci często moczyły się w swoich łózkach, bały się wychodzić na dwór, żeby załatwić swoje potrzeby.

Pierwszy obraz Potulic dla Zygmunta Bartosia, to zamek. Z dnia przyjazdu do obozu tylko on utkwiał mu w pamięci. Jak to na małym chłopcu, wywarł na nim ogromne wrażenie.

Bartoś: Przed zamkiem po lewej stronie była brama. Barak, w którym nas zakwaterowano znajdował się na samym końcu obozu. Za nim dopiero budował się następny.

Barak, w którym razem z Zygmuntem Bartosiem mieszkało wielu innych więźniów nosił numer 23 i był ostatnim zlokalizowanym w lewej części obozu.

Bartoś: Niemcy rzadko wyprowadzali nas na zewnątrz. Najczęściej kazali siedzieć w środku.

Dzień w obozie zaczynał się od apelu. Starsze dzieci sprzątały, nosiły talerze do jednego z baraków poza obozem.

Pan Zygmunt z topografii obozu zapamiętał przede wszystkim dwupiętrowy, murowany budynek, w którym, według jego relacji, mieściła się kuchnia oraz siedziba obozowego kapo. Jednak najboleśniejsze wspomnienia Bartosia, to te związane z życiem w baraku:

Wszędzie były ogromnych rozmiarów pluskwy i wszelkiego rodzaju robactwo, a w koło panował straszny smród. Rano wstawało się z ranami od pogryzień robactwa. W potulickim obozie spotkała się, wcześniej rozdzielona, grupa dzieci z Czeladzi, w sumie trzydzieści osób. Okazało się, że po drodze nikt nie zginął. Tak się spotkaliśmy - wszyscy w jednym baraku. Dziewczeta spały po prawej stronie od wejścia, chłopcy po lewej. W jednym baraku było może 12 trzypiętrowych łóżek po każdej ze stron. Nie mieli stałych miejsc w łózkach. Jak to dzieci - wymienialiśmy się między sobą.

Na śniadanie niemal zawsze dostawaliśmy czerstwy chleb, podany w aluminiowych garczkach. Do tego kawę, dziś można by ją nazwać gorszą odmianą najslabszej zbożowej. Nawet nie chcę wiedzieć z czego była robiona.

W baraku nie było szafek, bo i co mielibyśmy w nich chować. Było tylko łóżko i w zupełności wystarczało. Nie mieliśmy żadnych ubrań, wszystko co należało do nas trzymaliśmy pod siennikiem.

Jak już wspomniałem, w środku pełno było wszelkiego rodzaju robactwa, dlatego Niemcy gonili nas do „gazowania baraków”. Za pomocą papieru i taśm zalepialiśmy okna i drzwi. Do wielkiej michy wsypywało się truciznę, którą później podpalaliśmy. Dym, który gęsto wypełniał wnętrze baraku miał zabić wszystkie robaki. Zdarzało się to często i za każdym razem trwało kilka godzin. W ten sposób walczyliśmy z pluskwami. Wytwarzał się wtedy niesamowity smród, który utrzymywał się bez przerwy. Przesiąkały nim sienniki, meble, wszystko. Wietrzenie nic nie dawało. Zaraz po „gazowaniu” pluskwy odpadały od ścian, jak wiśnie z drzew. Niestety już następnego dnia znów się pojawiały, rosły jeszcze większe.

Lager Nr. 6007-b

Barbara Parka

9.1.39 Czeladz

aus Czeladz/Bendsburg

Takie znaczki musiały nosić wszystkie dzieci więzione w potulickim obozie.

Topografia obozu i dowództwo

Jak, z drobnymi szczegółami, wygląda najpotworniejszy z możliwych wytworów ludzkiej myśli architektonicznej?

Antoni Dulski był jednym z tych, którzy najlepiej zapamiętali topografię potulickiego obozu. Przez pół wieku, za pomocą słów wyrysował dokładny plan, który niemal z chirurgiczną precyzją opisuje wszystkie obozowe zabudowania.



Obóz otoczony był dwoma rzędami drutów kolczastych. W pewnych odstępach były wieże strażników. Wchodziło się do niego główną bramą. Wewnątrz stały baraki i inne budynki.

Na lewo od głównej bramy, przy samym ogrodzeniu stał długi barak – paczkarnia. Tu przyjmowano i rozdzielano paczki oraz listy.

Obok tego baraku były inne. Barak nr 3, 4, 5 zajmowały ss-manki. W baraku nr 2 było dowództwo wachmanów, na czele których stał obersturmfurer Willi Ehlert.

Po prawej stronie w baraku nr 6 mieszkali więźniowie zatrudnieni przy SS, w kuchni, warsztatach krawieckich, szewskich, biurach. Mieszkała tu część więźniów ze Stutthofu oraz hauptkapo. Pierwszym był Władysław Granica ze wsi Orla w powiecie grudziądzkim. Po jego zwolnieniu hauptkapo einz został Stenzel, zwei był Antoni Muwiński, a drei Stanisław Nowakowski, więzień Stutthofu.

Barak nr 7 zajmowali samotni mężczyźni ze Stutthofu oraz wysiedleńcy. Kolejne dwa baraki zajmowały rodziny oraz samotne kobiety. Baraki od numeru 10 do 16 oraz 18 zajmowały z kolei rodziny wysiedlone z Pomorza. Barak nr 17 przeznaczony był dla dzieci, których rodzice zostali wywiezieni do prac na roli. W baraku nr 19 mieścił się obozowy szpital. Leżeli w nim gruźlicy oraz inni nieuleczalnie chorzy, których później wywożono na zagładę.

W rogu obozu był następny, duży szpital. Leżeli tam chorzy więźniowie. W nim też była separatka dla ss-manów. Tych poważnie chorych wywożono do szpitala w Gdańsku i Bydgoszczy. Naczelnym lekarzem był dr Kąkolewski, inni to dr Tadeusz Szafrąński, Rochoń, Gaca oraz dr Hilarecki, który był lekarzem Polaków mieszkających w Nakle. Przemyczał do obozu lekarstwa. Podobnie robiły też dwie siostry zakonne zatrudnione w szpitalu. Dr Kąkolewski był tylko dla ss-manów. Inni dla nas. Raz przeprowadzono prześwietlenia, które obowiązywały wszystkich więźniów. W ich wyniki u wielu wykryto gruźlicę. Przy badaniach obecny był oficer SS. Kilku więźniów przybyłych do Potulic ze Stutthofu załamało się, kiedy dowiedzieli się, że są chorzy. Niedługo później, zmarli.

Obok szpitala stały kolejne baraki. Jeden zajmowała pralnia, następny macarnia – wyplatano tam maty ze słomy oraz buty. Następne baraki zajęte były przez warsztaty: stolarski, szewski oraz krawiecki.

Pośrodku obozu stał duży budynek, w którym na parterze mieściła się kuchnia

dla więźniów. Nadzór nad nią sprawował Władysław Duchowicz, który otrzymał do pomocy rosjanina Karczowa. Wyżywienie było gorsze niż w Stutthofie. Były zupy z brukwi i kapusty. Latem gotowano zielisko zbierane przez dzieci. Dawano chleb, margarynę i marmoladę.

Obok kuchni znajdowały się magazyny. Dalej łaźnia, odswszawalnia. Na piętrze, nad kuchnią była stołówka dla ss-manów. Obok duża sala. Z kolei nad łaźnią był warsztat krawiecki tylko dla SS.

Obok niego była kotłownia, która ogrzewała cały obóz łącznie z barakami. W tym samym budynku mieściła się piekarnia mechaniczna. Później obok zbudowano dwa baraki, w których umieszczono 500 rosyjskich i 1500 polskich dzieci. Na czele tego baraku stał Polak, były więzień Stutthofu Wojciech Jopek. Już wcześniej dał się poznać jako zbir i kat. Jako kapo bloku, a potem wszystkich bloków Potulic odznaczał się bandytyzmem. Powojenny proces sądowy wykazał, że własnoręcznie wykończył on wiele dzieci polskich, rosyjskich oraz łotewskich. Sam widziałem jak zanurzał brudne dzieci do beczek z wodą przeciwpożarową głowami w dół. Zdarzały się wypadki utonięcia.

Przed głównym gmachem był wykopany i wybetonowany duży zbiornik, który budowała karna kompania. W samym rogu obozu była kuchnia dla zwykłych szeregowych ss-manów. Pomiędzy ogrodzeniem a barakami od 6 do 9 stał barak biurowy z werandą. Komenda obozu znajdowała się poza ogrodzeniem. W szóstym baraku były 24 pokoje. Środkiem biegł korytarz z 12 pokojami i łazienką po każdej ze stron. W jednym pokoju mieszkało 9 więźniów.

W zamku, który znajdował się poza terenem obozu w końcu wojny została założona firma kuśmierska, filia gdańskiego przedsiębiorstwa. Centralne ogrzewanie obozu obsługiwał Henryk Raczyński, który wiedział, że w trupiarni w obecności komendanta Rillera i dr Kąkolewskiego przeprowadzano sekcje zwłok.

Komendanci obozu szybko się zmieniali. Początkowo był nim SS-Obersturmbannführer Riller, potem SS-sturmbannführer Scheinemann, który udzielił więźniom ze Stutthofu kilku dni urlopu. Gdyby choć jeden nie wrócił 10 wysłano by do Stutthofu. Na miejsce Scheinemanna przyszedł SS-obersturmbannführer Liebius, którego jako jedyne go komendanta, nie bały się dzieci. Po nim przyszedł Schulz. Ten był do końca.

Kara i śmierć

Jak spaczone myślenie musieli mieć Ci, którzy uważali Potulice za los wygrany na loterii. To jednak nie ich wina, a okupanta, który zmienił ich sposób postrzegania świata. Na pręcie ukułem sobie porównanie, w którym zestawilem właśnie ich z głodnym człowiekiem, który nie jadł od tygodnia. Dla niego kromka chleba byłaby rarytasem.



Leon Szczepański trafił do Potulic po nocnym aresztowaniu w maju 1943 roku⁴. W obozie karano biciem i wysyłką do nocnego kopania dołów tzw. Strafkolonny. Do ludzi nie strzelano. Lecz był barak numer XXX, z którego się nigdy nie wychodziło. Wsadzano też do bunkrów znajdujących się w potulickim zamku. Pamiętam, że było tam od 40 do 50 osób. Przychodził tam polski lekarz, nazywał się chyba Kąkolewski.

Z relacji Szczepańskiego wynika, że ludzie wracający z bunkrów byli wycieńczeni. Każdego dnia w obozie umierało 5 lub 6 osób. Grzebaniem zmarłych zajmowała się specjalna kolonia pogrzebowa. Przy grzebaniu zwłok mogli uczestniczyć krewni ofiar.

W 1943 roku na terenie obozu nie było już szubienicy, choć między więźniami panowało przekonanie, że kiedyś takowa istniała. W obozie przeprowadzano akcje sabotażowe wymierzone w hitlerowskich okupantów. Między innymi podpalano klej, którego używano w warsztatach szewskich.

Nieznański wspomina, że najgorszy w Potulicach był brak wody:

Były jakieś kraniki, z których ciekła woda, ale co znaczyło jedno drewniane korytko, na tyłu ludzie. W zimie do mycia wykorzystywaliśmy śnieg.

Z kolei Matuszczak pamięta, że w obozie zdarzały się przypadki bezsensownych morderstw. Przeczy tym samym wspomnieniom tych, którzy twierdzą, że w Potulicach nie strzelano do ludzi:

Zdarzały się też przypadki, że bez powodu strzelano do pracujących więźniów. Tak było z inżynierem Szbą, który pracował w Bauleitungu, gdzie prowadził biuro techniczne. Zastrzelił go ss-man Nielsen.

To jednak musiał być jeden z niewielu przypadków strzelania do więźniów, ponieważ pozostał też w pamięci Antoniego Dulskiego⁵, innego więźnia Potulic. Obie relacje różnią się pisownią nazwisk kata i ofiary, co jednak nie zmienia faktu, zaistnienia podobnego zdarzenia:

Oberscharfurer Nelsen, szef Baelautungu, zastrzelił pracującego u niego właści-

⁴ Leon Szczepański był więźniem obozu przesiedleńczego w Potulicach o nr 5469. Urodził się w 1909 r. w Kosobudach. po wojnie mieszkał w Brusach. Jego wspomnienia, które znajdują się w Muzeum w Sztutowie, spisał w 1971 r. red. Leszek Soczyński.

⁵ Antoni Dulski był więźniem obozu przesiedleńczego w Potulicach, gdzie przyjechał ze Stutthofu. Jego relację, która znajduje się w archiwach Muzeum w Sztutowie zebrał Miroslaw Gliński.

ciela tartaku w Wejcherowie inżyniera Szajbego. Po tym wypadku poszedł jednak na front.

Antoni Dulski: W 1944 roku przeprowadzono selekcję. Chorych z baraku nr 19 i tych znajdujących się na poszczególnych blokach wywieziono z obozu. Powrócił tylko samochód z rzeczami. Zmarłych więźniów chowano na cmentarzu w Potulicach. Groby były ładnie utrzymane. Chowano ich w specjalnej bardzo ładnej trumnie, która miała ruchome dno. Działo to tak, że z chwilą włożenia jej do grobu, dno otwierano, nagi trup wypadał, a trumna wracała do obozu i służyła innym.

Były wypadki wykańczania więźniów. SS-unterscharfurer Zanke zastrzelił niejakiego Gałkę. Z kolei Fabiana Leśnikowskiego najpierw pobito w bunkrze znajdującym się pod zamkiem, a potem zamordowano. Sprawcą tego morderstwa był Willi Elert, a pomagał mu dr Kąkolewski. W samych bunkrach przed wyzwoleniem umieszczano nieuleczalnie chorych i wycieńczonych więźniów, by tam umarli śmiercią głodową.

Wyzwolenie, podróż, powrót

Poniższe relacje pokazują, jak ludzka pamięć potrafi być zawodna. Wszystkie opisują ten sam moment. Moment wyzwolenia, szczęścia, moment wolności. Jednak każda z nich robi to na swój sposób. Nie wiem, czy jest to kwestia pamięci, czy może innego odczuwania chwili, innego postrzegania rzeczywistości.



Stanisław Matuszczak: 20 lutego 1945 roku wyprowadzono nas na ewakuację. Wyprowadzano nas kolejno blokami. Odkonczyło się to w jeden dzień. Ja szedłem na początku kolumny marszowej. Doszliśmy do Sabek za Nakłem. Tam na drodze stał Wehrmacht, który kazał ss-manom wracać z powrotem, by nie tarasować drogi. Rano już była w tym miejscu armia czerwona i zostaliśmy oswobodzeni.

Edmund Nitkiewicz: W Potulicach przebywałem do wyzwolenia przez wojska radzieckie w styczniu 1945 roku.

Leon Szczepański: 21 stycznia 1945 roku w niedzielę, w godzinach od 9³⁰ do 15³⁰ nastąpił wymarsz więźniów z obozu. Około połowa została w obozie, ja również. Niemcy wyszli o 15³⁰ w kierunku na Nakło prowadząc przed sobą więźniów, ale jak słyszałem, w Nakle skończyła się ta akcja fiaskiem. Nie zmuszono mnie do opuszczenia obozu. Pozostali w obozie zorganizowali posterunki po dwóch na każdym rogu. W obawie przed Niemcami warty pełniliśmy przez całą noc. O 21³⁰ nadszedł meldunek, że grupa około 50 Niemców wraca. Około 23⁰⁰ kazali nam załadować na samochody 12 beczek z benzyną, które miały posłużyć im w ucieczce. Od 21 stycznia przebywałem w obozie jeszcze około 10 dni. Rosjanie wkroczyli w środę lub w czwartek. Po ich przybyciu, ze względu na front pozostałem w obozie jeszcze tydzień. Pod koniec lutego byłem już w Sępólnie.

Antoni Dulski: Ewakuacja Potulic rozpoczęła się 21 stycznia 1945 roku. Ustawieni w kolumnę wyszliśmy około 15⁰⁰. Wieczorem doszliśmy do Nakła i tam zatrzymaliśmy się na rynku. Młoda para poradziła nam abyśmy uciekli, ludzie pomogą. Uciekliśmy w trzech: ja, Laszkiewicz, Józef Kasperski, fryzjer SS. Starsza osoba udzieliła nam schronienia, rano w mieście były już wojska radzieckie. Potem wróciłem do obozu i przebywałem tam do 15 lutego 1945 roku.

Matuszczak, Szczepański, Nitkiewicz i Dulski – oni wszyscy zapamiętali wyzwolenie z perspektywy osoby dorosłej, znającej życie. Zupełnie inaczej wyglądało ono z punktu widzenia dziecka, osoby, która w swoim krótkim życiu zaznała już tak wiele nieszczęścia. Wyzwolenie opisane w najdrobniejszych szczegółach przez Szczepańskiego tak bardzo różni się od tego nakreślonego przez Janinę Zachariasz i Zygmunta Bartosia, że aż trudno uwierzyć, że nasi bohaterowie relacjonują dokładnie

te same wydarzenia.

Janina Zachariasz: Nadeszła wolność. Nasi więźniowie i nasi chłopcy rabowali ponemieckie pomieszczenia, zdobywali ubiór i jedzenie. W pewnym momencie jeden z więźniów podszedł do naszej grupy i powiedział: pójdźcie ze mną. Wtedy jeszcze nie wiedzieliśmy po co. Wyprowadził nas na miejsce, w którym jeszcze niedawno znajdowali się strażnicy. Wtedy zobaczyłam tatę, który od razu nas poznał. Radości, jaką wtedy czułam nie da się opisać.

Mężczyźni, którzy po nas przyjechali mieli ogromny problem. Dzieci było znacznie więcej, a oni nie mogli zabrać przecież wszystkich. Wzięli 54 dzieci z Czeladzi, choć wiele innych chciało z nimi pojechać. Prosiły i błagały, żeby ich nie zostawiać. Mój ojciec zobowiązał się wtedy, że i po nie przyjedzie.

Podróż powrotna była bardzo ciężka. Byliśmy ubrani, w to, co udało się zdobyć w obozie: niemieckie ubrania, za duże buty, słowem wszystko, co tylko mogło ochronić przed zimnem. Jechaliśmy w wagonach z piecykami. Zdziwiająca była ta wspaniała organizacja i życzliwość ludzi, którzy na stacjach, na których zatrzymywał się pociąg częstowali nas gorącymi napojami i jedzeniem. Podróż do Czeladzi mogła trwać dość długo, bo napotkaliśmy na wielkie utrudnienia w komunikacji.

Zygmunt Bartoś:

Jak tylko Niemcy uciekli, to od razu pobiegliśmy do zamku po ciuchy. Plądrowaliśmy wnętrza, w których znaleźliśmy masę ciuchów. Szukaliśmy jedzenia, butów. Znalazłem tam skórzane obuwie wojskowe wykładane filcem. Wtedy po raz pierwszy od kilku lat, założyłem na nogi normalne buty. Nie przeszkadzało mi, że są dwa lewe, w nich przyjechałem do Czeladzi. Pamiętam, że jednego wieczoru kładliśmy się spać a następnego, Niemców już nie było. Kiedy przyjeżdżali Ruscy baraki się trzęsły. Armia Czerwona przywiozła świnię. Wtedy zjadłem pierwszą zupę ze skwar-kami i kartofle.

Z obozu odwieziono nas furami na stację kolejową w Nakle. Do domu wracaliśmy pierwszą klasą – w wagonach z wyrąbanymi siedzeniami, jechaliśmy długo, cholernie długo, często się przesiadając. Podczas podróży mieliśmy spore problemy. Nie było węgla. W lokomotywie palono czym popadło.

W końcu jednak dojechali na stację kolejową do Będzina. Potem tramwajem do Czeladzi.

Zachariasz: Tam czekał na nas tłum ludzi. Witano nas owacyjnie. My dzieci, stałyśmy na rynku w ponemieckich mundurach, a oni odśpiewali nam Rotę. Byłam bardzo wzruszona.

Wszyscy byli ciekawi jak wyglądają. Płacz i krzyk przeplatał się okrzykami radości i serdecznymi powitaniem. Po część przyszły rodziny.

Przewoźnik przewożący dzieci z obszarów w Północy -
 ulicach do Czeladzi
 po wyzwoleniu 18.02.1945 r.

Petalice, dnia 18 lutego 1945 r.

Lp. Nr		Nazwisko	Imię	Data urodz.	Miejsce zamieszkania	Numer
		Sokala	Krystyna	31.10.33	Czeladź	6016
1.		Sokala	Krystyna	31.10.33	"	6023
2.		Szumplier	Henryka	20.12.20	"	6023
3.		Szumplier	Anna	18.10.36	"	6031
4.		Nowak	Wenig	24.4.31	"	6022
5.		Szczepaniak	Halina	25.7.31	"	6002
6.		Burkowska	Irena	2.3.30	"	5998
7.		Niechaj	Krzysztof	16.1.39	Piecki	6027
8.		Wojcisz	Maria	8.9.29	Czeladź	6027
9.		Wojcisz	Jan	10.9.30	"	6027
10.		Wojcisz	Emilia	25.1.37	"	6027
11.		Kobus	Jerzy	6.6.31	Piecki	5993
12.		Kobus	Henryk	18.9.29	"	5994
13.		Kobus	Halina	8.8.39	"	5994
14.		Kobus	Olga	25.3.39	"	5993
15.		Sopala	Krzysztof	8.8.34	"	6019
16.		Sopala	Ludwik	14.8.41	"	6019
17.		Pietras	Irena	18.8.29	"	6008
18.		Pietras	Witold	19.7.33	"	6008
19.		Judycki	Leokadia	8.7.30	Katowice	5966
20.		Niechaj	Irena	1.1.28	Grodzice	6629
21.		Niechaj	Jan	1.1.29	"	6629
22.		Niechaj	Krzysztof	8.9.38	"	6629
23.		Niechaj	Krzysztof	23.11.31	"	6629
24.		Niechaj	Edmund	24.2.42	"	6629
25.		Lisak	Janina	14.12.28	Ślesków	5971
26.		Klich	Zofia	22.7.38	"	5991
27.		Śleski	Włodzisław	17.2.36	Czeladź,	5981
28.		Biala	Włodzisław	18.4.28	"	5984
29.		Czapla	Alfreda	7.6.31	"	5953
30.		Czapla	Jerzy	29.6.35	"	5953
31.		Serek	Maryla	25.6.39	"	5976
32.		Kaplan	Edward	12.5.33	"	5982
33.		Kaplan	Halina	6.8.34	"	5982
34.		Kaplan	Barbara	3.12.41	"	5982
35.		Stachowska	Barbara	10.3.30	Piecki	5978
36.		Stachowski	Stanisław	11.5.35	"	5978
37.		Nowak	Jerzy	27.6.31	"	5978

38.	P a s k a	Marion			
39.	Borowik	Janina	9.31	Cielad4	5954
40.	Barted	Zygmunt	79	"	5980
41.	Barted	Lila		"	5977
42.	Bajdak	Krytyna	29.	"	5977
43.	Bajdak	Mieczysław	9.3.	"	601
44.	Skrobot	Zofia	5.10.4	"	601
45.	Skrobot	Maria	16.8.36	"	601
46.	Skrobot	Ewa	16.5.37	"	601
47.	Bonian	Teodora	1.2.41	"	601
48.	Jandala	Krytyna	1.11.36	Plesna	601
49.	Parka	Jerzy	42	"	601
50.	Parka	Barbara	29.4.34	Cielad4	601
51.	Polak	Janina	9.1.39	"	601
52.	Polak	Czesław	23.8.29	"	601
53.	K n a p	Czesław	11.11.31	"	601
54.	K n a p	Stefan	19.10.35	"	601
55.			2.1.40	"	601

Potwierdzamy odbiór 54 dzieci wymienionych w spisie, które zobowiązujemy się odstaroszyć rodzicom i dbać o ich przyszłość w podróży pojmując odpowiedzialność na siebie przejętą.

Potulica, dnia 13/2.45

p o d p i s y

Boniar Władysław
Polak Jan

Kowalik Teofil
W. Parka

Original listy znajduje się w Wojewódzkim Archiwum Państwowym w Bydgoszczy. 130.

Katowice, dnia 11.XI.1974 r.

Pleszyc z napisem: Okręgowa Komisja Badania Zbrodni Hitlerowskich ul. Andrzeja 16 / gmach Sądu Wojewódzkiego / 40-057 KATOWICE

Oraz pleszyc okręgle z godłem narodowym w środku i napisem: Okręgowa Komisja Badania Zbrodni Hitlerowskich w Katowicach.

Zachariasz: Dla reszty dzieci był sierociniec, który założyły władze miasta. Rodziny, które nie podołałyby utrzymaniu dziecka oddawały je do domu, w którym obecnie mieści się Pałac Ślubów. Często jednak je odwiedzały, zabierały do siebie na soboty i niedziele. Tam dzieci znalazły dobrą opiekę wśród ciepłych i serdecznych opiekunek.



54 dzieci szczęśliwie powróciło do domu. Dzieci, które nie znalazły schronienia u krewnych wychowywały się w sierocińcu.

Kierowniczka sierocińca Zofia Wróblewska

Ich wyzwoliciiele – Polak, Parka, Kowalik, Bazior

Bez nich finał tułaczki czeladzkich Dzieci Potulic, mógł być zdecydowanie mniej szczęśliwy. Tylko dzięki ich poświęceniu i determinacji 54 osobowa grupa młodych czeladźników, mogła wrócić do swoich rodzin. Jan Polak, ojciec Janiny i Czesławy, wspomnienia dotyczące momentu uwolnienia dzieci z obozu w Potulicach, spisał ponad 40 lat temu:



Chociaż nie wiedziałem czy tereny Potulic, gdzie przebywały moje córki zostały wyzwolone, za wszelką cenę pragnąłem jak najprędzej pojechać po nie. Pragnienie moje wprowadziłem w czyn 31 stycznia 1945 roku po uprzednim uzyskaniu przepustki w Komendzie Wojsk Radzieckich. Do Potulic udałem się z Wiktorem Parką, jego szwagrem Kowalikiem oraz Baziorem, pociągami towarowym, który zawiózł nas do Koluszek. Dalej jechaliśmy parowozem, gdyż pociągi jeszcze nie kursowały. W ten sposób dojechaliśmy do palącego się jeszcze Inowrocławia. Stamtąd, po chwilowym odpoczynku, udaliśmy się z Kowalikiem pieszo do oddalonej o około 40 kilometrów Bydgoszczy. Parka z wycieńczenia nie był za tak forsowną drogą. W Bydgoszczy zostaliśmy przez władze porządkowe chwilowo zatrzymani, ale po okazaniu wydanej nam przepustki, wczesnym rankiem zostaliśmy zwolnieni, nakarmieni przed dalszą podróżą.

Dotarliśmy wreszcie do Nakła, o które toczyły się jeszcze boje, jednak już w godzinach popołudniowych miasto zostało wyzwolone. Dojechaliśmy tam parowozem, który wykonywał pierwszy, próbny kurs dla sprawdzenia torów.

Z Nakła, w drugim dniu podróży, dotarliśmy pieszo do Potulic. Obóz był już oswobodzony przez wojska radzieckie i urzędowały w nim nasze władze. Polska straż obozowa po wylegitymowaniu przyjęła nas bardzo serdecznie udzielając nam wszelkich informacji o dzieciach przebywających w obozie.

Dopiero wtedy rozpoczęły się największe kłopoty polegające na wyszukaniu dzieci pochodzących z Czeladzi i najbliższej okolicy, zdobyciu środka lokomocji, który posłużyłby do przewiezienia dzieci w rodzinne strony.

Z pomocą przyszły nam miejscowe władze, które przydzieliły nam dwa pojazdy konne do przewiezienia najmłodszych na stację kolejową w Nakle oddalonym o osiem kilometrów. Z obozu zabraliśmy 54 dzieci. Władze miasta udostępniły dzieciom świetlicę kolejową, nakarmiły je. Zwróciłem się do Komendy Wojsk Radzieckich z prośbą o przyznanie środka lokomocji dla dalszego transportu dzieci. Otrzymałem wagon towarowy, który miejscowi kolejarze wyposażyli w żelazny piecyk, koks, węgiel oraz słomę do spania. Tak wyekwipowani udaliśmy się do Bydgoszczy, skąd po kilkugodzinnym postoju udaliśmy się do Inowrocławia. Tam również udzielono nam pomocy. Miejscowi przynieśli nam gorące napoje, ciepłe potrawy oraz słodycze. Z Inowrocławia po dłuższym postoju ruszyliśmy w stronę Częstochowy, a póź-



Władysław Bazior



Wiktor Parka

Władysław Bazior, Wiktor Parka, Jan Polak oraz
Teofil Kowalik przywieźli dzieci do Czeladzi



Jan Polak



Teofil Kowalik

niej Będzina.

Dzieci cieszyły się z powrotu do domu, choć niektóre z nich wiedziały, że w Czeladzi nie zastaną rodziców.

Do Będzina dotarliśmy w niedzielne południe. Po zatrzymaniu się pociągu momentalnie przybyło na miejsce 15 milicjantów, którzy pomogli wyjść dzieciom z pociągu i odprowadzili je na tramwaj.

W Czeladzi dzieci odebrali rodzice, a tymi, które nie miały już rodziców, zaopiekowała się najbliższa rodzina.

Do domu wróciłem razem z obiema córkami. Przez następnych kilka dni odwiedzali mnie przedstawiciele prasy, którym opowiadałem o podróży powrotnej dzieci oraz o tych, które pozostały w obozie. Kiedy byłem jeszcze w Potuliach tamtejszy komendant wręczył mi wykaz dzieci, po które jeszcze nikt się nie zgłosił, z prośbą o powtórny przyjazd i zabranie ich z obozu. Wykaz udostępniłem przedstawicielom prasy. Widniały na nim nazwiska dzieci z Warszawy, Krakowa, Częstochowy, oraz wielu miejscowości Górnego Śląska.

Po kilku dniach zostałem wezwany do przewodniczącego WRN w Katowicach Jerzego Ziętka. Tam otrzymałem polecenie ponownego wyjazdu do Potulic. Tym razem w transporcie pomagali mi moi dwaj bracia: Lucjan i Władysław oraz szwagier Mieczysław Galon. Upoważnienie na przywóz dzieci otrzymałem od Jerzego Ziętka. Zgodnie z posiadaną listą zabrałem z obozu 103 dzieci. W drodze powrotnej pomagały nam przydzielone w Potuliach dwie pielęgniarki, których nazwisk niestety nie pamiętam. Część dzieci pochodzących z Warszawy wysadziliśmy na dworcu w Koluszkach, gdzie przejechała tamtejsza Milicja Obywatelska. Podobnie było w Częstochowie i Zawierciu. Pozostałe dzieci przywieźliśmy do Będzina i przekazaliśmy zarządowi PCK. Drugi transport odbyliśmy w trochę lepszych warunkach, ale wymagał on większej opieki i troskliwości ze względu na przewóz dzieci w wieku trzech i czterech lat.



Spis treści

1. Wstęp.....	str.3
2. Obóz w Potulicach.....	str.5
3. Antyhitlerowskie podziemie na terenach zagłębia.....	str.9
4. „Idźcie, idźcie, bo was pobiją” Sierpniowa noc. Rozbite rodziny. Aktion Oderberg.....	str.12
5. Droga do Potulic.....	str.17
6. Ludzie ludziom zgotowali tan los.....	str.25
7. Życie i praca w obozie.....	str.30
8. Topografia obozu i dowództwo.....	str.36
9. Kara i śmierć.....	str.39
10. Wyzwolenie, podróż, powrót.....	str.42
11. Ich wyzwoliciele - Polak, Parka, Kowalik, Bazior.....	str.48



Jakub Agaciński: ur. 31.7.1899 r. KL Stutthof przebywał od 1944 r. do jesieni 1944 r.

ur. doborowy 74 121

W czasie wojny byłem leśniczym w Trzepcach nadleśnictwa Wejherowo. W naszych lasach było około 50 bunkrów w których ukrywali się różni ludzie, mianowicie mój brat. Niemcy podejrzewali mnie o ukrywanie tych ludzi, przystawo kilka kontrad, kiedy nie było wykazano zorganizowanego oddziału, w której zginęło 3-ich ludzi. Była to wojenka. Wtedy mnie aresztowano wraz z całą rodziną, przetransportowano do Gestapo w Wejherowie, później mnie przewieziono do Gestapo do Gdańska a z niego do Potulic. Najmłodszy syn miał 1,5 roku. Moje najgorsze przeżycia były na Gestapo w Gdańsku. Tam spędziłem się na łóżku, nie było ciepła, było wieszano za ręce, bo chcieli uzyskać wiadomości o ukrywających się w lasach ludziach. Siedziałem tam 8 tygodni; latem 44 r. przewieziono mnie do Stutthofu. Zatrudniono nas do krótkiego samochodu którym dojeżdżaliśmy do kolejki wysładowej która dowoziła nas do Stutthofu. To był dość duży transport, wraz ze mną przewieziono wtedy do doboru kilku Francuzów, Rosjan, Holendrów.

Jako przyszedłem do doboru dostaliśmy numer, przyjmowano nas na Starym Obozie. Musieliśmy długo stać twarzą do ściany, potem nas strzelano, kopano i karano oddać resztkę swojej rzeczy. Po kąpieli wprowadzono nas na dwór i namgo karano czekać na resztę kolegów. Następnie dostaliśmy cywilne ubranie z czernymi krawieciami na plecach i na nogi drewniaki. Tyfus ci co wprowadzili a ussonkowan do dostawali paszaki.

Po odbyciu karantenu na bloku XIV skierowano mnie do pracy. Pracowałem w Geschirrkomando. Tam zajmowałem się naprawą broni. Naszym kapo był Fabian. Najlepiej pracowałem przy reperaturze karabinów. Norma dzienna była pięć